

Skończmy z PRL-em w geodezji



Rozmawiamy z **KRZYSZTOFEM SZCZEPANIKIEM**, prezesem Stowarzyszenia Geodeci Ziemi Piotrkowskiej oraz – od końca 2017 r. – Polskiego Towarzystwa Geodezyjnego

DAMIAN CZEKAJ: Uprawnienia zawodowe w dziedzinie geodezji i kartografii uzyskał pan równo 20 lat temu. Nie myślał pan nigdy, aby spróbować szczęścia w jakimś innym zawodzie?

KRZYSZTOF SZCZEPANIK: Myślałem, szczególnie ostatnio. Obecnie obowiązujący w Polsce system prawny jest dla geodety uprawnionego upokarzający. Zmiany w prawie, które miały poprawić naszą sytuację, tylko ją pogorszyły.

I czym by się pan zajął?

Cały czas wierzę, że zmiana branży jednak nie będzie konieczna. Bardzo lubię swój zawód, jest to praca pełna wyzwań, niemonotonna. Razem ze współnikiem Sławomirem Barasińskim wykonujemy dużo trudnych pod względem prawnym zleceń, których inni boją się podjąć. Są to np. sprawy graniczne. Zaczyna się od przysłowiowego sporu o miedzę, a kończy na poznaniu całej historii życia stron. Jednak gdy uda nam się doprowadzić do złagodzenia konfliktu, mamy poczucie dobrze spełnionego obowiązku. W ogóle to najczęściej jestem w terenie podczas wykonywania pomiarów. Niestety, później zaczynają się schody. Gdy mam iść do ODGiK-u, to od razu jestem chory. Dlatego staram się wysyłać tam moich pracowników.

Co jest najgorsze?

W tej chwili w geodezji najważniejszy jest weryfikator. Jak mam ustalać z klientem terminy, skoro nie wiem, ile będzie trwała weryfikacja? Kto układa się z we-

ryfikatorami, ten ma łatwiej, a kto nie – jak koledzy z lokalnych stowarzyszeń geodezyjnych, PTG czy Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Geodetów – musi liczyć się z nieprzyjemnymi konsekwencjami. Często zdarza się, że prace geodetów uprawnionych z wieloletnim doświadczeniem są podważane przez urzędników świeżo po studiach. Niektórzy pracownicy administracji pracują po godzinach w terenie i traktują nas jak konkurencję. Ostatnio od członków PTG usłyszałem pewną historię związaną z dorabianiem urzędników, która byłaby zabawna, jakby nie była prawdziwa. Jeden geodeta powiatowy pod przybranym nazwiskiem pojechał w teren zrobić podział, wyznaczył granice, ale zlecający byli niezadowoleni z jego pracy i następnego dnia poszli na skargę do... geodety powiatowego. Byli zaskoczeni, gdy okazało się, że to ta sama osoba.

Kolejna patologia, o której donoszą PTG i LSG: młodzi weryfikatorzy, świeżo po studiach i bez uprawnień, wymuszają na geodetach uprawnionych podpisy w dzienniku praktyk. Za podpis jest bezproblemowa weryfikacja. Kiedyś prace kameralne w biurze zajmowały geodecie około 20% czasu, teraz 80%. Do czego to doprowadziło? Czy ja wykonuję zlecenie dla ośrodka dokumentacji, czy dla klienta? Płaci mi klient, natomiast najwięcej obowiązków nakłada na mnie administracja. I muszę naprawiać błędy w zasobie, za które odpowiedzialni są starostowie.

Czas wreszcie skończyć z PRL-em w geodezji, który rozpoczął się w 1952 r. wejściem w życie dekretu o państwowej służbie geodezyjnej i kartograficznej i trwa w naszej branży po dziś dzień mimo zmiany ustroju. Powinniśmy dążyć do tego, aby zawód geodety znów stał się zawodem zaufania publicznego, a jego ranga była porównywalna z tą, jaką cieszył się po wejściu w życie ustawy o mierniczych przysięgłych w 1925 r.

Jak pan w ogóle trafił do zawodu?

W szkole podstawowej, działającej w Związku Harcerstwa Polskiego, zetknąłem się z terenoznawstwem. Bardzo spodobała mi się praca z mapą i kompasem, zacząłem więc zastanawiać się, jak takie mapy są tworzone. Poza tym w jednej ze ścian mojego domu rodzinnego znajdował się reper, który od zawsze wzbudzał moją ciekawość. Tak się złożyło, że w roku, w którym kończyłem szkołę podstawową, w Piotrkowie Trybunalskim otworzono technikum [obecnie w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych i Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych nr 3 – red.] i zdecydowałem się tam pójść. W technikum przekonałem się do zawodu geodety i poznałem swojego przyszłego współnika. Zaraz po szkole znalazłem zatrudnienie w Wojewódzkim Biurze Geodezji i Terenów Rolnych w Piotrkowie Trybunalskim. Pracowałem tam przez osiem lat do 1998 r. W tym czasie zdobyłem uprawnienia zawodowe i miałem krótki epizod zagraniczny. W 1997 r. wraz Sławomirem



Fot. Dominik Czelej

Barasińskim pracowałem w Libii, gdzie wykonywaliśmy pomiary sytuacyjno-wysokościowe związane z założeniem ewidencji, a także inwentaryzowaliśmy ropociągi na Saharze. Była to niesamowita przygoda. Kilka lat później skończyłem jeszcze studia zaoczne na Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie i uzyskałem tytuł inżyniera geodety.

Dlaczego odszedł pan z WBGiTR?

Złożyło się na to kilka czynników. Pierwszy z nich to planowana reforma administracji w 1999 r. W jej wyniku miało zostać zlikwidowane m.in. województwo piotrkowskie. A zatem WBGiTR, w którym pracowałem, czekałaby restrukturyzacja. Nie wiedziałem, jak duże będą zmiany. Poza tym nie czułem się tam w 100% spełniony, nie odpowiadała mi biurokratyzowana struktura. Pamiętam, że z uzyskaniem uprawnień nie wiązałem się żaden awans czy podwyżka. W końcu razem z moim przyszłym współnikiem, który również po technikum rozpoczął pracę w wojewódzkim biurze, postanowiliśmy odejść i wziąć sprawy we własne ręce. Założyliśmy spółkę cywilną Geo-Center. Oczywiście w WBGiTR bardzo dużo się nauczyłem. Wiele zawdzięczam kierownikom brygad, z którymi pracowałem. Tam obowiązywała zasada rzucania na głęboką wodę. Dostawałeś zlecenie i musiałeś się nim zajmować od początku do końca.

Jak wyglądały początki działalności na własną rękę?

Pamiętam nasze pierwsze zlecenie. Mój współnik zapytał: Od czego zaczynamy? A ja na to: Zaczniemy może, jak w WBGiTR, od śniadania (*śmiech*). Tak więc zjedliśmy wspólnie śniadanie i da-

lej już jakoś poszło. Zdarzały się górkę i dołki, ale zawsze wychodziliśmy z nich obronną ręką. Zatrudnialiśmy – w zależności od koniunktury – od kilku do kilkunastu pracowników. Firma przechodziła zmiany własnościowe, ale zawsze przez 20 lat istnienia związany z nią byłem ja i Sławomir Barasiński.

Zanim w 2011 r. utworzyliście Stowarzyszenie Geodeci Ziemi Piotrkowskiej, działał pan w jakichś organizacjach?

Początek lat dwutysięcznych to krótki – trwał około roku – epizod ze Stowarzyszeniem Geodetów Polskich, które miało wtedy w Piotrkowie Trybunalskim własny oddział. Przystąpiłem do SGP, bo liczyłem na wsparcie jego członków w rozwiązywaniu codziennych trudności, z którymi boryka się geodeta. Pracując w WBGiTR, zawsze mogłem zwrócić się o pomoc do starszych kolegów. Po tym jednak, jak ze współnikiem założyliśmy własną działalność gospodarczą, zostaliśmy ze swoimi problemami sami. Niestety, stowarzyszenie nie działało do końca tak, jak bym tego oczekiwał, więc w końcu zrezygnowałem. Podobnie było z Geodezyjną Izbą Gospodarczą, której członkiem przez jakiś czas była nasza firma. Nieco dłużej, bo kilka lat działaliśmy za to w Regionalnej Izbie Gospodarczej w Piotrkowie Trybunalskim. Sporo się wtedy nauczyłem, bo w pewnym momencie zostałem nawet wybrany do zarządu izby. Raz Geo-Center został nominowany w organizowanym przez piotrkowski RIG konkursie na przedsiębiorstwo roku, a ja – na przedsiębiorcę roku.

Co było impulsem do utworzenia SGZP?

Problemy z lokalną administracją geodezyjną. Pojedynczy geodeta nie miał szans w starciu z urzędnikiem, więc powołaliśmy stowarzyszenie, aby mogło reprezentować poszczególnych członków przed organami państwa. Poza tym liczyliśmy na to, że zawiązanie organizacji spowoduje, że my, lokalni geodeci, będziemy się częściej spotykać, wymieniać doświadczeniami i wspierać. I tak też się stało.

Stowarzyszenie działa już 7 lat. Jakie problemy udało się rozwiązać?

Próbowaliśmy różnych metod – bardziej i mniej popularnych. Niektórzy mają nas za odmieńców, trędowatych, bo nie donosi się przecież na kolegów geodetów czy urzędników. Ja uważam inaczej, jeśli kolega jawnie łamie prawo. Jeżeli chodzi o starostwo w Piotrkowie Trybunalskim, to odnieśliśmy pewne sukcesy. Na pewno lepiej funkcjonuje i stało się bardziej przyjazne dla geodety. Udało nam się zmienić godziny otwarcia składnicy, które wcześniej były inne niż godziny otwarcia starostwa. Jednak główna różnica jest taka, że wreszcie zaczęto z nami poważnie rozmawiać. Kiedy stowarzyszenie wskazuje na jakieś nieprawidłowości, to starostwo nie ignoruje nas, tylko stara się porozumieć, organizuje spotkania. Oczywiście do ideału jeszcze daleko. Zdarza się, że członkowie SGZP doświadczają w starostwie nieprzyjemności z powodu przynależności do stowarzyszenia, np. czas oczekiwania na weryfikację jest znacznie dłuższy niż w przypadku innych geodetów. Dlatego też liczba członków Stowarzyszenia Geodeci Ziemi Piotrkowskiej nie rośnie. Ponadto członkowie SGZP nie są zapraszani do składania ofert w przetargach o wartości do 30 tys. euro ogłoszonych przez starostwo.

A jak wygląda sprawa z urzędem miasta w Piotrkowie Trybunalskim?

W urzędzie miasta też nie jest idealnie, ale tam się inaczej rozmawia. Zawsze można było przyjść do kierownika, usiąść i powiedzieć, co się nie podoba, co dobrze byłoby zmienić. Raz mieliśmy 3-godzinną dyskusję, jak należy mierzyć studzienkę. Innym razem udało nam się obalić absurdalną wytyczną, że na terenie miasta nie można wykonywać wcięć. Różnicę w podejściu starostwa i urzędu miasta chyba dobrze obrazuje sprawa imprez integracyjnych, których kilka zorganizowało SGZP. Na wszystkich pojawił się geodeta miasta, a geodeta powiatowy na żadnej mimo zaproszeń.

O SGZP i pozostałych lokalnych stowarzyszeniach geodezyjnych zrobiło się głośniejsze w 2016 r. Skąd to wypłynięcie na szerokie wody?

Stwierdziliśmy, że żadna organizacja ogólnopolska nie załatwi za nas pew-

nych spraw, nie rozwiąże problemów, które trapią przecież nie tylko geodetów piotrkowskich, i postanowiliśmy wziąć sprawy we własne ręce. Wszystko zaczęło się w czerwcu 2016 r., kiedy w ostatniej chwili udało nam się dostać – dzięki poseł Barbarze Chrobak – na spotkanie w Ministerstwie Infrastruktury i Budownictwa. Oprócz mnie uczestniczyli w nim Arkadiusz Koza i Agnieszka Zabłocka-Gasek. Pamiętam, że aby móc pojechać na to spotkanie, musiałem dzień wcześniej do 19. skończyć ze współnikiem niwelację. Będąc już w ministerstwie i słuchając zgromadzonych tam osób, doszedłem do wniosku, że dużo prawdy jest w stwierdzeniu, iż ryba psuje się od głowy. Jednak czasu poświęconego na wyjazd do Warszawy nie uważam za stracony. Poznałem wielu ważnych w geodezji ludzi, m.in. głównego geodetę kraju Kazimierza Bujakowskiego, którego poprosiłem o spotkanie z przedstawicielami lokalnych stowarzyszeń geodezyjnych.

Wasza wzmocniona działalność zbiegła się ze zmianami w GUGiK.

Rzeczywiście. Gospodarzem naszego pierwszego spotkania w GUGiK-u w październiku 2016 r. była już Aleksandra Jabłonowska, którą zresztą oceniam bardzo pozytywnie. Po tym spotkaniu odniosłem wrażenie, że była autentycznie poruszona tym, z jakimi trudnościami musimy się mierzyć i chciała nam pomóc. Zarówno wtedy, jak i teraz uważam, że głównym geodetą kraju nie musi być osoba z wykształceniem i doświadczeniem geodezyjnym. Ważne, żeby była otwarta na postulaty wszystkich geodetów.

Z obecnym głównym geodetą kraju Grażyną Kierznowską czasami mamy różne zdania, ale staramy się dochodzić do wspólnego stanowiska. Z rozmów, jakie miałem okazję odbyć z panią prezes, wnioskuje, że jej celem również jest doprowadzenie do jak najszybszego załagodzenia konfliktów na linii geodeta uprawniony – ODGiK. Jako przykład chęci współpracy odbieram zaproszenie naszej koleżanki Doroty Pawłowskiej-Baszak na spotkanie z WINGiK-ami i geodetami województw, które odbyło się w grudniu 2017 r., gdzie wygłosiła referat pt. „Wykonywanie prac geodezyjnych a tzw. »Prawo powiatowe«”.

Jednym z większych osiągnięć LSG był niewątpliwie ubiegłoroczny Kongres Geodetów Polskich. Jak go pan teraz ocenia?

Na pewno dużo się wtedy nauczyliśmy. Chyba po raz pierwszy gospodarzem tak poważnej imprezy geodezyjnej było tak niewielkie stowarzyszenie, jak SGZP. Bardzo pomogła nam Geodezyjna Izba

Gospodarcza, która wsparła nas w przygotowaniu poszczególnych paneli Kongresu. Poza tym staraliśmy się korzystać z dobrych wzorców. W organizację konferencji zaangażowaliśmy osoby, które miały spore doświadczenie w tym zakresie. Poza tym trzeba wspomnieć, że podczas Kongresu wiceminister infrastruktury i budownictwa Tomasz Żuchowski poinformował o utworzeniu zespołu doradczego ds. rozwiązań systemowych w geodezji i kartografii.

Niestety, do tej pory nie udało się zrealizować żadnych pokongresowych wniosków.

Ich realizacja nie jest w naszej mocy. Naszym obowiązkiem jest sygnalizowanie pewnych nieprawidłowości, mówienie o nich głośno, dobijanie się z nimi do rządzących. Chciałem jednak zauważyć, że większość tych postulatów była przedmiotem prac zespołu doradczego.

A jak wygląda kwestia jednoci geodezyjnej? Pod takim hasłem odbył się ubiegłoroczny Kongres.

W przypadku stowarzyszeń jest bardzo dobrze. Na początku, gdy przystępowaliśmy do organizowania Kongresu, część z nich była, delikatnie rzecz ujmując, sceptycznie nastawiona. Ostatecznie jednak większość ogólnopolskich organizacji branżowych objęła Kongres patronatem. Coraz łatwiej nam się rozmawia, spotykamy się, podejmujemy wspólne działania, jak np. inicjatywa GIG-u „Apel 45”. Ostatnio też, po publikacji w GEODECIE artykułu „Starostwo Spółka z o.o.”, zaczęliśmy razem zastanawiać się nad rozwiązaniem problemu dorabiania przez urzędników.

Już za kilka tygodni w Piotrkowie Trybunalskim odbędzie się II Kongres.

Spotkanie zaplanowaliśmy na 19-21 kwietnia. Obecnie dużo czasu poświęcamy na rozmowy w sprawie patronatów. Ostatnie zmiany w rządzie nieco utrudniły nam zadanie. Mam nadzieję, że jeszcze w marcu uda nam się spotkać z ministrem inwestycji i rozwoju Jerzym Kwiecińskim i na ten temat porozmawiać. Nie wyobrażam sobie, żeby przedstawiciela ministerstwa miało zabraknąć na tym kongresie. Hasło II Kongresu to „Równość w geodezji”. Będziemy chcieli pokazać, że równość w geodezji jest możliwa, a współpraca i partnerskie relacje między geodetami uprawnionymi i urzędnikami mogą przynieść wymierne korzyści. Organizatorem II Kongresu na pewno będą LSG, prawdopodobnie też PTG. Liczymy również na obecność przedstawicieli wszystkich pozostałych organizacji geodezyjnych.

Porozmawiajmy teraz o zespole, który działał przy ministrze infrastruktury

i budownictwa. Był pan zaangażowany w trzech podzespołach...

... „Standardy techniczne wykonywania geodezyjnych pomiarów sytuacyjnych i wysokościowych, wykonywanie prac geodezyjnych i kartograficznych”, „Organizacja zawodu geodety i nadawania uprawnień zawodowych”, a także „Struktura organizacyjna SGiK i jej finansowanie oraz organizacja, struktura i tryb prowadzenia PZGiK”.

Jak się panu w nich pracowało?

Na początku członkowie lokalnych organizacji wywołali niemałe zamieszanie. Przedstawiciele administracji byli zdziwieni, że tak otwarcie i zdecydowanie przedstawiamy swoje postulaty. Do pracy w zespole przystąpiliśmy z pewną wizją zmian, natomiast urzędnicy twierdzili, że one nie są potrzebne. Moim zdaniem nie należy tak do tego podchodzić. Nieważne, kto reprezentuje jakie struktury – powinniśmy być otwarci na spojrzenie innych osób. Najtrudniej było w podzespołe poświęconym służbie geodezyjnej i kartograficznej. Nie mogliśmy w ogóle przebić się ze swoimi wnioskami. Sytuację zmieniła dopiero reorganizacja tego podzespołu.

Pierwotnie zespół miał przedstawić wyniki swoich prac już na jesieni ubiegłego roku, ale przez kilka pierwszych miesięcy nie udało nam się wypracować wspólnego stanowiska. Oczywiście uważam, że powołanie zespołu było bardzo dobrym pomysłem. Dało nam możliwość zaprezentowania własnych poglądów, wysłuchania opinii innych. Aby coś zmienić, musimy się spotykać i rozmawiać.

Teraz nie wiadomo, jaka będzie przyszłość zespołu.

Mam nadzieję, że zespół jednak zostanie reaktywowany. Szkoda byłoby zmarnować tyle miesięcy pracy i zaangażowania wielu osób. Musimy się spotkać z ministrem Kwiecińskim i przekonać się, jakie ma plany.

W listopadzie 2017 r. został pan prezesem PTG. Co skłoniło pana do kandydowania?

Przekonali mnie koleżanki i koledzy. Na prośbę części członków towarzystwa zdecydowałem się kandydować do zarządu PTG, a następnie zgodziłem się zostać prezesem. Podkreślali, że razem możemy przebudować tę organizację. Jestem człowiekiem, który nie lubi być ograniczany i stara się nie ograniczać innych. Być może dlatego członkowie PTG uznali, że będą odpowiednim kandydatem na to stanowisko.

Jakie cele postawił pan przed sobą, obejmując kierownictwo PTG?

Chcę, aby każdy członek miał pewność, że kiedy zwróci się do towarzystwa o po-

moc, to ją uzyska. Mam tu na myśli nie tylko wsparcie przy sporządzaniu pism, ale także bezpośrednie interwencje u organów administracji. Nie tak dawno na prośbę naszego członka z Dąbrowy Górniczej uczestniczyliśmy w spotkaniu z zastępcą prezydenta miasta w sprawie działania Wydziału Geodezji i Kartografii. Teraz sytuacja powoli wraca tam do normy, został nawiązany dialog między geodetami a urzędnikami. Nasze działania odnośną więc skutek. Pokłosem tej interwencji jest Forum Geodetów organizowane przez PTG, LSG i OZZG 1 marca w Dąbrowie Górniczej.

Kolejna istotna kwestia to szkolenia. Będę zachęcał naszych członków do pogłębiania wiedzy, aby m.in. mogli lepiej bronić się w starciu z administracją. Poza tym jako PTG

chcemy mocniej zaistnieć w świadomości geodetów. Ostatnio było o nas dość cicho, dlatego też powołaliśmy dział medialny, znów publikujemy dużo na Facebooku i założyliśmy konto na Twitterze.

Będzie pan dążył do zacieśnienia współpracy między PTG i LSG?

W dalszym ciągu będziemy współdziałać w ramach konkretnych spraw, ale uważam, że silniejsza integracja nie jest konieczna. Każde lokalne stowarzyszenie to niezależny byt i tak powinno pozostać.

Ostatnio wsparł pan inicjatywę powołania Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Geodetów.

Zgadza się, znalazłem się w Komitecie założycielskim OZZG. Zawsze popierałem i będę popierał tego typu działania. Idealnym rozwiązaniem byłoby powołanie samorządu zawodowego geodetów i kartografów, ale póki co nie powinniśmy się zamykać na inne rozwiązania.

Co ten nowy „twór” może zaoferować geodetom?

Związek działa na podstawie innej ustawy niż stowarzyszenia, więc do zaoferowania ma całkiem sporo. Przede wszystkim będzie dbał o interesy nie tylko przedsiębiorców, ale także pracowników, którzy często borykają się z mobbingiem, mają niewypłacone pensje czy zmuszani są do podpisywania umów niezgodnych z prawem. Jako związkowcy podlegamy ochronie prawnej i w każdej chwili możemy zorganizować protest. Wierzę, że OZZG stanie się silną organizacją, która będzie dobrze reprezentować geodetów. Oczywiście jest jesz-



Krag Starszyny Harcerskiej Legatus - z lewej Krzysztof Szczepanik

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Szczepanika

cze wiele do zrobienia, bo od zera musimy zbudować struktury związkowe.

Jest pan także biegłym sądowym. Jak się układa współpraca z sądami?

Nie narzekam. Czasami muszę długo czekać na wynagrodzenie za przygotowanie opinii, ale jest to spowodowane przeciąganiem się spraw w sądzie. Każde kolejne zlecenie z sądu traktuję jako wyzwanie i okazję do zdobycia nowej wiedzy. A sprawy bywają naprawdę trudne. Nie tak dawno, żeby przedstawić opinię do rozgraniczenia sądowego, musiałem wykonywać pomiary w asyście 4 policjantów. Właściciel nieruchomości nie chciał mnie wpuścić na swój teren, utrudniał pomiary, dotykał sprzętu, zaślaniał wizurę, chwycił za statyw i tyczkę. Ot, życie geodety.

Jednak nie samą pracą człowiek żyje. Od wielu lat działa pan w Związku Harcerstwa Polskiego.

W młodości była to odskocznia od szkoły, teraz działając w harcerstwie, odpoczywam. Jako kilkulatek zostałem zuchem. Bardzo podobało mi się to, że gromady zuchowe prowadziły osoby niewiele starsze ode mnie. Później zostałem harcerzem, a w technikum geodezyjnym prowadziłem już własną drużynę – 19. Drużynę Turystyczną. Wspólnie z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym organizowaliśmy m.in. biegi na orientację. Niedługo potem zostałem instruktorem ZHP. W końcu jednak nawał obowiązków zawodowych sprawił, że wystąpiłem ze związku. Ponownie zaangażowałem się 5 lat temu, kiedy do ZHP zapisała się moja córka.

Spotkałem wtedy wielu kolegów z dawnych lat, których dzieci również zaczęły przygodę z harcerstwem, i postanowiliśmy poszukać dla siebie nowego pola służby. Znaleźliśmy je dzięki Projektowi 35+ skierowanemu do osób niegdyś związanych z ZHP. Zostałem ponownie przyjęty do grona instruktorów i podwyższyłem swój stopień harcerski. Teraz jestem podharc mistrzem i mam otwartą próbę na harcmistrza. Cały czas więc się doszkałam. Razem z koleżankami i kolegami założyliśmy też Krag Starszyny Harcerskiej Legatus, który jest już znany w całym związku i uczestniczył w niejednej imprezie ogólnopolskiej.

Czy geodeci mogliby się czegoś nauczyć od harcerzy?

Myślę, że tak, przede wszystkim

stowarzyszeniowej i społecznej. Harcerze mają w tym przecież ogromne, ponad 100-letnie doświadczenie. Pewne elementy, które sprawdzają się w ZHP, staram się zaszczepiać w naszych organizacjach. Dotyczy to m.in. szkoleń. Jako instruktor ZHP cały czas pogłębiam swoją wiedzę i umiejętności. Jeżdżę na szkolenia, seminaria, konferencje instruktorskie. Przynajmniej pod tym względem geodeci powinni brać przykład z harcerzy.

Jak pan znajduje na wszystko czas?

Zarówno moja rodzina, jak i współpracownicy wykazują wielką wyrozumiałość dla mojej pracy społecznej. Gdyby nie ich wsparcie, na pewno nie dałbym sobie ze wszystkim rady.

Na koniec chciałem pana zapytać o epizod filmowy.

Na początku lat 90., kiedy pracowałem jeszcze w WBGiTR, zgłosiłem się na casting do filmu „Uprowadzenie Agaty”, który miał być kręcony w Piotrkowie Trybunalskim. W szkole zawsze mówili, że mam predyspozycje aktorskie, więc postanowiłem spróbować. Udało się i zagrałem w pierwszych minutach filmu. Teraz trochę trudno mnie rozpoznać, bo w „Uprowadzeniu Agaty” mam więcej włosów i wąsy. Swój występ chciałem utrzymać w tajemnicy, ale nie udało się. Powód był prozaiczny – zmieniono godzinę kręcenia scen z moim udziałem i osoby z ekipy filmowej zjawiły się po mnie w WBGiTR. Teraz już czytelnicy GEODETY będą wiedzieć, dlaczego niektórzy komentatorzy na Geoforum.pl piszą o mnie „gwiazdor” (śmiech).

Rozmawiał Damian Czekaj